

RENE BURES.

Zil=X...

21) tłumaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Kpię sobie z agenta policyjnego!
 — Dobrze! A on sobie zakpi z pana bramy. Każe ją wysadzić.
 — A co to pana może obchodzić? To do mnie tylko należy.

— Dobrze. Jestem przyjacielem. Chciałem tylko pana ostrzedz. Ale skoro pan to tak przy-
 muje, więc odchodzę. Jest pan jednym z naj-
 bardziej upartych ludzi jakich kiedykolwiek wi-
 działem — zawołał Iggins wyprowadzony z rów-
 nowagi. — Odchodzę, wraz z moimi przyja-
 ciółmi, panie Dambleuse, nie zobaczy mnie pan
 prędko.

I rzeczywiście Iggins zamasytym krokiem
 podszedł do samochodu, usiadł i rzucił jakiś
 rozkaz szoferowi. Wsiadłszy za nim i już ma-
 szyna miała ruszyć z miejsca, kiedy nagle
 drzwi zamku otworzyły się z trzaskiem. Ujr-
 liśmy starego Dambleuse, ubranego w wielki,
 obszerny płaszcz wypłowiały i stary. Na głowie
 miał zniszczoną płaską czapkę, na nogach wy-
 sokie buty. Był wściekły. Kosmyki siwych wło-
 sów wychodziły mu z pod czapki. Duże bino-
 kle umieszczone na czubku nosa trzęsły się od
 wewnętrzznego drżenia jego ciała.

— Ah! tak! — zawołał. — Myślicie, że sobie
 odjedziecie teraz spokojnie, po tem wszystkim?
 — A jakże pan chce żebyśmy odjeżdżali? —
 zapytał Iggins zimno.

— Wyobrażacie sobie — krzyczał dalej stary,
 nie zwracając uwagi na słowa Igginsa — że
 można bezkarnie napaść uczciwego człowieka,
 pomieszać jego obliczenia i rachunki, przerwać
 jego poszukiwania i doświadczenia, tak ważne
 dla nauki, zdenerwować go, zburzyć jego spo-
 kój na cały dzień, wytrącić go z równowagi
 i potem wyjechać sobie najspokojniej? Myślicie
 panowie, że tak można zrobić, co?

Iggins już tymczasem zapanował nad sobą
 i odzyskał na chwilę utraconą, zwyczajną swoją
 flegmę i spokój.

— Pan chce żebyśmy zostali? — rzekł uśmie-
 chając się. Trzeba było zaraz to powiedzieć,
 kochany panie Dambleuse. Ależ z największą
 przyjemnością. A nawet drogi panie, przyjmijmy
 z ochotą zaproszenie na śniadanie!

— Ja nie jem śniadania! — odrzucił stary ze
 złością! Ja nie jem wcale śniadania!

— Tem gorzej dla pana. Śniadanie powinno
 się zawsze jeść, choćby ono było najgorsze.
 Ale o to korzystamy z uprzejmości pana i zo-
 stajemy.

Skoczył z samochodu ze zręcznością mło-
 dego chłopca, a my uczyniliśmy to samo.

— Co to pan opowiadał o tym ajencji z po-
 licyi? — zapytał stary dziwak.

— Mówiłem, że policja wie już zapewne,
 tak, jak Iggins stojący przed panem o zniknię-
 ciu pana służącej. Wobec czego zjawi się tu
 lada chwila i przeprowadzi śledztwo. Jeżeli pan
 nie zechce otworzyć tak, jak nam, otworzą so-
 bie sami i zdemolują bramę pana.

— Elwira znikła? — zapytał Dambleuse. —
 Kto to panu powiedział?

— To już do mnie należy. Faktem jest, że
 zniknęła — nieprawdaż?

— I jakież to może mieć znaczenie? — mru-
 knął stary unosząc się znowu. Tak mój panie
 jakież to może mieć znaczenie? — powtórzył
 z wściekłością. Ja nie zajmuję się szpiegowan-
 iem ludzi, mój panie. Spróbowałem raz zaba-
 wić się w detektywa razem z wami i przeko-
 nałem się, że tylko czas tracę na próżno. Na-
 prawdę, pan się na tych rzeczach nic a nic nie
 rozumie. Tak! tak! POCO się pan wmięszał w tę
 sprawę? Chodzi panu o opinię rodziny Dambleuse?
 Pan jej opinii nie uratuje. Innych ludzi potrzeba
 do tego, mój chłopcze! Ha! ha! bajeczne było
 to śledztwo pana! A ta kolacja, z tą panią
 z teatru. Paradna historia! I to odkrycie pana
 wspaniałe! Zil-X. — Ah! dajcie mi pokój.
 Jakże ja głupi byłem! Uwierzyłem na chwilę
 w wasze głupie dowodzenia, ale teraz już otrzą-
 słem się z tego. Zil-X-27002! Ha! ha! śmiał-
 bym się z tego, przez dzień cały, gdybym nie
 miał tyle pracy przed sobą!

Iggins zblił lekko, ale spokojnie, do końca
 wysłuchał wybuchu starego.

— Nie chodzi teraz o Zila, panie Dambleuse —

odezwał się gdy Dambleuse zmęczony umilkł
 nareszcie. Nie chodzi tu wcale o śledztwo, tylko
 o Elwirę Bourdon. Przychodzę tutaj szukać słu-
 żącej pana Elwiry Bourdon!

— Pozostawcie mnie w spokoju! Słyszycie!
 pozostawcie mnie w spokoju! — krzyknął stary
 nieprzytomny z gniewu. — Co mnie obchodzi
 wasza głupia historia. Elwiry niema, powiadacie?
 A więc wróci, jak się jej będzie podobało. A ja
 was mam dosyć, słyszycie?

Odwrócił się od nas, jak gdyby zamierzał
 odejść, ale Iggins zatrzymał go pytaniem.

— Ona wróci tu. Jest pan pewnym tego?

— Drwię sobie z tego — zaśmiał się głośno
 stary. — Drwię sobie z tego i z was także, ro-
 zumiecie mnie? Sto służących nie wartę się dzie-
 sięciu minut straconego czasu. A przez was
 i przez nie straciłem już cały ranek. Ja mam
 siedmdziesiąt lat, mój panie. Muszę się spieszyć.
 A pan mi tu przychodzi i zawraca głowę jakimś
 zniknięciem i policyją! Już koniec mój panie!
 koniec! Idę do mojego laboratorium i tam o chle-
 bie i wodzie pracować będę. Ajenci, sędziowie,
 żandarmi, wy wszyscy, nie istniejecie dla mnie!
 Już dosyć straciłem czasu przez wasze głupstwa!
 Tydzień cały tak, tydzień cały to jakgdyby dla
 drugiego lat dziesięć!

— Czy wy wiecie, co to jest taki tydzień dla
 mnie? — krzyczał dalej — wpadając w szal jakiś
 epileptyczny i potrząsając ramieniem Igginsa.
 Tydzień, kiedy mnie może już tylko rok pozo-
 staje do życia!

— Ah! ah! żeby nie wyl byłbym świat cały
 zburzył od posad i stworzył świat inny, nowy!
 Dambleuse podniecał się coraz bardziej;
 na bladą zwykle twarz jego, wystąpiły takie
 gorączkowe wypieki, że byłem pewnym, iż grozi
 mu lada chwila atak apoplektyczny.

— Ah! więc to tak! — krzyczał już teraz, du-
 sząc się z gniewu. — Te ośm dni nie wystarczy
 wam! Chcecie mi jeszcze wydrzeć drugi tydzień!
 No dalej! Uciekajcie stąd! Uciekajcie prędko!
 Ah! ah! jeszcze tydzień! Jeszcze cały tydzień
 mam im poświęcić! Tego chcecie, co!

— Spokojnie, panie Dambleuse — przerwał
 wybuch starego Igginsa... Ja szanuję naukę...

— Jeżeli ja pan szanuję, tak, jak mówi, to
 wynoście się stąd prędko.

— Szanuję wiedzę — powtórzył Iggins. I także
 lubię nie tracić czasu na próżno. Ale niech się
 pan zastanowi. Za chwilę jak powiadam zjawią
 się tu ajenci. Więc i tak dzień ten będzie dla
 pana straconym.

— Nie! — odparł stary.

— Tak! — upierał się Iggins.

— Nie! — huknął Dambleuse. — Nie! Nie! Oni
 tu nie wejdą. Nikt tu nie wejdzie, kiedy ja pra-
 cuję! Więc sądzi pan, że wystarczy, aby się
 zjawił głupi jakiś agent, a ja mu zaraz otworzę?
 Co to znowu? Dlatego, że ktoś tam puka do
 moich drzwi, ja mam porzucać tak ważną pracę,
 przerwać obliczenia? Nie! tysiąc razy nie! Do-
 syć mam tego! Dosyć! Słyszycie! Pracować
 będę dalej, pomimo agentów, pomimo was, po-
 mimo wszystkich! I niech się strzeże ten, który
 będzie mi chciał przeszkodzić.

Dobrze — oświadczył Iggins — odchodzę
 z moimi przyjaciółmi. Ale nie sądzę, aby ajenci
 okazali się tak względni.

— Zobaczymy — mruknął stary Dambleuse.
 Obrzucił nas jeszcze zirytowanym spojrzeniem
 i zawołał ironicznie:

— Życzę panom dobrej nocy!

— Poczem prędko zatrzaskał bramę za sobą.
 Słyszeliśmy jeszcze jak kłął zawzięcie, zasu-
 wając rygle i zamykając drzwi na klucz.

Iggins postął chwilę przed zamkniętą bramą
 i zdawał się nad czemś głęboko zastanawiać.
 Poczem odezwał się:

— Nie! nie ruszę się ztąd. Jestem ciekawy,
 co się tu stanie. Może ten stary waryat zmieni
 zdanie i otworzy dobrowolnie. Ale to będzie
 w każdym razie ciekawy widok. Za pięć minut
 w pół do dwunastej — mówił dalej spojrzawszy
 na zegarek. — Pociąg już właśnie nadszedł. Nie
 będziemy więc długo tu czekać. Najgorsze jest to,
 że nie wiadomo teraz kiedy będziemy mogli
 zjeść śniadanie.

Co prawda ani Dalton, ani ja nie myśleliśmy
 o jedzeniu. Byliśmy zanadto podnieceni tą dzi-
 wną sceną. Wiedziałem, że stary Dambleuse
 uchodzi wszędzie za maniaka, ale nie przy-
 puszczałem, żeby jego dziwactwa doszły do
 tego stopnia. Z dziedzica, na którym znajdo-
 waliśmy się, rozciągał się widok na całą oko-
 licę. Mogliśmy więc z tego miejsca obserwować

doskonale wszystkie drogi wiodące do zamku.
 Po jakimś czasie, na jednej ze ścieżek ukazała
 się sylwetka trzech ludzi. Iggins podszedł do
 samochodu, wyjął polową lunetę i przyglądać
 się zaczął.

— To Markas — rzekł po chwili — i agent drugi,
 Salomon. Idzie z nimi jakiś nieznajomy — sędzia
 prawdopodobnie.

— Pan Giroux? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział Iggins. Okrąg działal-
 ności pana Giroux nie sięga aż do tąd. To za-
 pewne jego kolega z Pontoise tak — to on będzie.

Spoglądaliśmy wszyscy po kolei przez lunetę.
 Poznaliśmy Markasa i Salomona, idących rów-
 nym, żołnierskim krokiem. Obok nich szedł
 niewysoki, dosyć gruby mężczyzna, czyniąc wi-
 doczne wysiłki, aby nadszyc towarzysza.

Dalton dotąd nie odezwał się ani słowem.
 Odszedł od nas na chwilę, aby obejść zamek
 dookoła. Wrócił po jakimś czasie i zamienił
 z Igginem porozumiewawcze spojrzenie.

— Ciekawy jestem, jak się to wszystko
 ułoży — rzucił jak gdyby do siebie, wzruszając
 ramionami.

Nakoniec po upływie dziesięciu minut, Mar-
 kas, Salomon i ich towarzysze stanęli u stóp
 zamku.

Wdrapali się żywo po niewielkiej pochyło-
 ści dzielącej nas od nich i znaleźli się obok
 nas.

Markas nie okazał pozornie żadnego zdzi-
 wienia na nasz widok.

— Dzień dobry panie Dalton — rzekł ze
 swobodą zanadto sztuczną.

Mnie ukłonił się lekko, Igginsa zaś zaszczy-
 cił tylko przenikliwym spojrzeniem.

Iggins najmnijmniej nie zwrócił uwagi na
 nowo przybyłych.

Markas poszedł do sędziego i szepnął mu
 coś do ucha. Ale sędzia potrząsnął tylko głową
 ruchem odmownym i zwrócił się w stronę
 bramy zamkowej.

I tak, jak to uczynił niedawno Dalton, pod-
 niósł młotek żelazny umieszczony przy drzwiach
 i zastukał. Ale nic się nie poruszyło w zamku.

Sędzia poczekał chwilę i znowu uniósł mło-
 tek żelazny. Ale i tym razem drzwi nie otwo-
 rzyły się. Wówczas Markas podszedł szybko
 i kilkakrotnie uderzył nogą w odrzwia, mruczając
 coś pod nosem. Głuche echo rozległo się we-
 wnętrzu, zdając się rozchodzić po długich dale-
 kich korytarzach, ale drzwi pozostały nadal
 zamknięte.

— Może tam niema nikogo — rzucił sędzia.

Markas pochylił się znowu ku niemu i sze-
 pnął mu coś cicho.

— Dobrze! — oświadczył sędzia.

Markas wówczas zbliżył się do Daltona i za-
 pytał:

— Czy nie wie pan, czy stary Dambleuse
 jest w zamku?

— Proszę się zwrócić do Igginsa — odpowie-
 dział Dalton. — Kiedy on jest, ja milczę.

Ajent niechętnie zwrócił się z tem zapyta-
 niem do Igginsa, przypatrującego mu się z iro-
 nicznym uśmiechem.

— Czy to sędzia polecił wam zapytać mnie
 o to? — zapytał.

— Tak — odpowiedział Markas.

— W takim razie powiedz mu mój przyja-
 cielowi, że nie mam zwyczaju porozumiewać się
 przez pośredników z osobą, która nie była mi
 jeszcze przedstawioną. Zrozumiałeś?

— Czy chce pan, abym mu przedstawił sę-
 dziego.

— Iggins nigdy niczego nie żąda. Oznaj-
 miam tylko, że nie rozmawiam z ludźmi nie-
 znajomymi.

Markas powrócił do sędziego i chwilę z nim
 rozmawiał przyciszonym głosem. Sędzia brwi
 marszczył, sapał, w końcu wzruszył ramionami.
 Ale podszedł do nas i odezwał się jasnym,
 spokojnym głosem:

— Panowie, jestem Henryk Pontvau, sędzia

z Pontoise. Czy nie mógłbym się od was do-
 dzieć, czy pan René Dambleuse znajduje się
 obecnie w zamku.

— Jest tam — odparł Iggins.

— Jest pan tego pewnym?

— Tak.

— Widział go pan?

— Tak.

— A więc musi on nam otworzyć — oświad-
 czył pan Pontvau.

(Ciąg dalszy nastąpi).